

Nr. 36. — Rok XXVI.

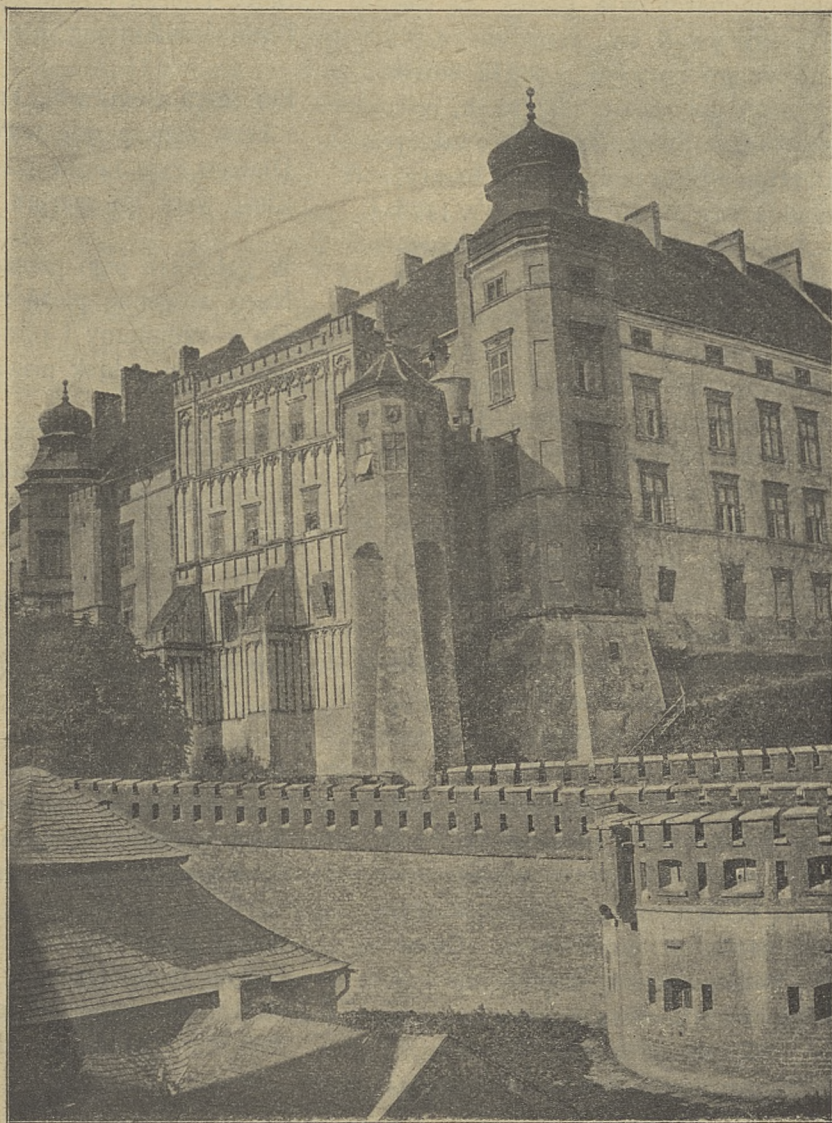
Dnia 27 Sierpnia (9 Września) 1905 r.



# WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci

Z DODATKIEM POWIEŚCIOWYM.



Baszta Zamku Krakowskiego „Kurza Stopa”.



## Oddanie Zamku Krakowskiego.

W piękny ranek 7-go sierpnia odbyło się oddanie zamku Krakowskiego przez austriackie władze wojskowe przedstawicielom wydziału krajowego Galicyi.

Dzieje tej dawnej rezydencji królów polskich w Krakowie sięgają czasów przedhistorycznych, łączą się więc z legendami o Kraku i jego walce ze smokiem, o pięknej Wandzie „co nie chciała Niemca“ i wołała śmierć w nurtach Wisły.

Grodem królewskim uczynił Wawel Bolesław Chrobry, ale w czasie pierwszego napadu Tatarów pierwotny zamek drewniany spłonął częściowo i dopiero w r. 1256 Bolesław Wstydlivy wzniósł pierwsze budowle murowane, choć właściwym twórcą murowanego zamku jest dopiero Kazimierz Wielki. W epoce Jagiellonów świetność Wawelu podniosła się do najwyższego blasku, a choć częste pożary niszczyły zamek, monarchowie polscy za każdym razem odbudowywali swą rezydencję.

Twórcą głównego korpusu w stylu odrodzenia, dochowanego do czasów obecnych, jest rozgłośny budowniczy doby Zygmuntońskiej Florentczyk, Bartłomiej Berecci; cztery baszty, dotychczas również istniejące, powstały r. 1470 za Kazimierza Jagiellończyka, a wieża tak zwana „Kurza Stopka“, mająca rzeczywiście kształt i formę kurzej stopy, powstała jeszcze wcześniej.

Z chwilą przeniesienia stolicy Polski do Warszawy zaczął się upadek zamku krakowskiego i powolna jego ruina. Dzielnie do tego przyczynili się prusacy, którzy wdarłszy się do Krakowa po upadku powstania Kościuszkowskiego zrabowali Wawel doszczętnie, wszystko co cenniejsze — nawet marmurowe kominki, mozaikowe posadzki i ozdobne sufity wywożono z zamku do Niemiec.

Czego nie zniszczyły najazdy szwedzkie i grabież pruska, tego dokonał rząd austriacki, zamieniając Wawel w roku 1848-ym na cytadelę i koszary wojskowe.

Po ćwierć wiekowych staraniach został wreszcie Zamek Krakowski zwrócony krajowi, a po odnowieniu w części będzie przeznaczony na rezydencję cesarza austriackiego, w części na muzeum pamiątek narodowych. Odnowienie jednak całkowite nie prędko da się uskutečnić i zapewne ze dwa pokolenia będą musiały usilnie nad tem pracować iłożyć wielkie sumy aby doprowadzić dzieło do pożądanego końca.

## *Z cyklu: Drzewa.*

✻

### D A B.

W gęstwinie boru, w ciszy, w mroku,  
Jak olbrzym, co niebiosa wspiera,  
Majestatycznie widny oku,  
Dąb stoi. . Liść mu skroń ubiera...

Pień jego, jak potężna wieża,  
Przeszłości zdaje się kolumną —  
W górze w koronę się rozszerza,  
Z wichrami gadającą, szumną ..

Konary jego, jak ramiona,  
Olbrzymie, muskularne, twarde...  
Czuć w nich moc tęgą, co nie skona  
Dla szturmów czasu czuć pogardę!...

Wyrósł nad wszystkie inne drzewa  
I cień głęboki rzuca wkoło:  
Stoi... i pieśń odwieczną śpiewa,  
Pieśń — zadumaną, niewesołą!

Do serca ziemi wbił korzenie  
I krew zeń czerpie wiecznie młodą,  
Dlatego żyje nieskończenie.  
Choć wiatr go szarpie, gromy bodą.

W gałęziach jego ptasząt chóry  
Nucą wiosenną pieśń radosną:  
On — zadumany i ponury —  
Nie gardzi jednak nową wiosną...

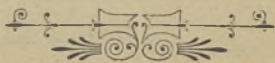
Pieśniarzom daje przytulisko  
I słońcu dreszczem odpowiada, —  
A słońce blisko ma — tak blisko, —  
Że mówi doń — jak do sąsiada...

Lat tysiąc żyje... Widział tyle...  
Co wiek dokoła świat się zmienia...  
Dla niego lata — krótkie chwile,  
Lecz i najdroższe też = wspomnienia!...

Zachował wszystko w serca głębi  
I aż do śmierci nie zapomni...  
Wiek w nim uczucia nie wyziębi...  
Kocha wciąż silniej, wciąż ogromnie.

A gdy go pyta młódź nieśmiała,  
Czemu zawdzięcza siły swoje —  
Mawia: to ziemia mi je dała...  
Miłością dla niej dotąd stoję.

Leon Rvgier.





## Gospodarstwo mrówek.

(ciąg dalszy).

Kiedy wojna postanowiona zostanie, amazonki wysyłają podjazdy, aby dowiedzieć się, gdzie się znajdują osady brunetek, lub rudobrodych.<sup>1)</sup> Gdy zbiorą potrzebne wiadomości, wyruszają w pole kolumną, liczącą od 100 do 2000 wojowników, zwykle po południu, gdyż jak to już wspominaliśmy, gorące promienie słońca zabójcze są dla mrówek.

W szeregach wojennych panuje karność i przezorność. Czasami przystają, naradzają się. W pobliżu grodu brunetek, lub rudobrodych ustawia się wojsko klinem, gotowe do ataku. Adjutanci i ordynanse przebiegają szeregi i wreszcie cały zastęp rzuca się z wściekłością naprzód. Przerazone brunetki ratują się ucieczką, unosząc swe liszki i poczwarki.

Jeżeli mrówki napadnięte uciekną, to utraciwszy, co mają najdroższego, tj. liszki i poczwarki, ujdą z życiem, jeśli zaś próbują bronić gniazda, to bywają nielitościwie wymordowane.

Zwycięskie amazonki unoszą do domu swą zdobycz, owe obce liszki i poczwarki, z których umieją wybrać same robotnice, a poczwarki samców i samiczek zabijają na miejscu. Branki swe pielęgnują starannie i wychowują jakby własne dzieci, aby mieć z nich sługi i karmicielki.

Ale wojna nie zawsze się udaje. Wspomniany już badacz, August Forel, obserwował, jak jeden gród amazonek w ciągu 30 dni przeprowadził 44 wyprawy.

Z tych 28 udało się zupełnie, 9 tylko w małej mierze, reszta zakończyła się klęską. Wyprawy skierowane były w połowie na rudobrodę, w drugiej na brunetki.

Udana wyprawa przynosiła przeciętnie 1000 liszek i poczwarek. Przy takim powodzeniu, amazonki w ciągu lata zdobywają do 40,000 świeżych robotnic.

W wycieczkach tych pomaga im ogromna szybkość pochodu. Amazonka przechodzi długość metra w ciągu 25-u sekund. Zważywszy małe jej rozmiary, obliczono, że człowiek średniego wzrostu, idąc z równym pośpiechem, przebiegałby 35 wiorst w ciągu godziny, czyli szedłby z szybkością, zwykłego pociągu osobowego. Nietylko amazonki, lecz i inne plemiona mrówcze utrzymują niewolnice, chociaż i same od pracy się nie uchylają.

Krwawniki np. parę razy w ciągu lata czynią zaborcze wycieczki, napadając osady

brunetek i rudobrodych, tych prawdziwych mrówczych murzynów, choć potrafią obejść się też bez obcej pomocy, gdyż w niektórych gniazdach wcale nie spotykamy niewolnic. Ciekawą jest rzeczą, że czarne niewolnice krwawników towarzyszą zwykle swym panom w wyprawach po nowe branki i pomagają im dzielnie w walce z mrówkami własnego rodu.

Za najsilniejsze wśród mrówek uchodzą gmachówki. Jedna gmachówka potrafi mężnie stawić czoło kilkudziesięciu mrówkom drobniejszego gatunku. Zwykle przecina napastniczki na pół silnemi szczękami. Amazonki ustępują im nieco pod względem siły, znacznie słabsze są krwawniki, a dopiero po nich idą łąkowe.

Najwaleczniejsze są amazonki, lecz krwawniki prowadzą wojny więcej genialnie.

Pochód odbywa się małemi oddziałami, wysyłającymi ciągle podjazdy na zwiady, a na czele idzie przednia straż, która się często zmienia, aby nie nużąc się zbyt, mogła być zawsze czujną.



Walka gmachówki z drobnymi mrówkami.

Oddział, który pierwszy natrafi na nieprzyjaciela, nie rzuca się na niego zapamiętale, jak amazonki, lecz czeka, aż skoncentrują się bataliony. Potem dopiero zaczyna się regularne oblężenie, albo bitwa. W szyki przeciwników, występujących w zwartych szeregach, starają się krwawniki wnieść przestrah i zamieszanie przez liczne ataki z boków, lub nawet z tyłu, tak iż często nawet mrówki łąkowe wpadają w popłoch.

Znak dany u przeciwnika do odwrotu — krwawniki zaraz rozumieją, w mig podają sobie hasła i rzucają się wściekle na osłupiałego nieprzyjaciela, który się już nawet nie broni. Zresztą wobec każdego nieprzyjaciela używają krwawniki innej taktyki, a plan bitwy zmieniają z przytomnością umysłu według okoliczności. Krwawnikom nie chodzi w bitwie o trupy, owszem starają się jak najmniej mordować, byleby nieprzyjaciel się poddał. — Zdobywszy gród, obsadzają wrota strażą, która zwyciężonych przepuszcza wolno, jeżeli nic nie niosą, lecz zatrzymuje, te które pragną coś ze swego najdroższego mienia, swe poczwarki uratować.

<sup>1</sup> Formica rufibarbis.



Krwawniki prowadzą wojny wyłącznie w celu zdobycia bramek, są jednak gatunki mrówek, które unikają walki, a zaczepione woła w ucieczce szukać ratunku.<sup>1)</sup>

(d. n.)



Z. Morawska.

## Przygody Imię Pana Mikołaja.

Powieść z XVI w.

(Ciąg dalszy).

— Mówią i uczą po łacinie! — dodawał z pogardą nie tylko dla znienawidzonej mowy Rzymian lecz i dla najzacniejszych przedstawicieli ówczesnego duchowieństwa.

I w głowie jego powstawały najsprzeczniejsze myśli, z których sprawy zdać sobie nie umiał.

— Muszę ja się z tym uczonym Trepką zaznajomić, — ale jakim sposobem... słyszałem, że Luter był Niemiec, a ten prawi, że trzeba po polsku kazania mówić... dodawał w myśli.

I z temi myślami począł chodzić koło mieszkania księdza Szymona, postanawiając wychodzącego krzewiciela nowej religii o wiele rzeczy zapytać.

Tymczasem pogodny dzień lutowy kończył się zawieją i taką ciemnicą, że na dwa kroki nie widać nie było. Lecz Reja to nie odstraszało.

Zamieć rzucała mu całe płaty wilgotnego śniegu, nad miastem zwisło, niebo przeciążone deszczem i śniegiem, na ulicy rozlały się kałuże rozmiękłego błota, które uczyniło jeden wielki grzęzki strumień nie do przebycia.

Ulice były też nie oświetlone, gdzieś nigdzie tylko migotało w oknach światło pochodzące z ogniska na kominie, zatkniętego łuczywa w szczelinę komina, lub małej olejnej lampki, wskazującej, iż to jest mieszkanie profesora, pracującego nad jakąś księgą.

Na taką aurę nikt nie wychylał się z domu, pusto więc było zupełnie, nawet pies przytuliwszy uszy przykucnął w budzie lub sieni, nie kwapiąc się na wyszukiwanie smacznych kąsków w ulicznym błocie.

Ale Rej, raz postanowiwszy czekać na uczonego propagatora nowinek nie dbał o pogodę, schował czapkę pod kubrak, myśląc sobie:

— Czapy szkoda a jeżeli się tam co niepotrzebnego we włosy zaplątało, dobrze, że mu śnieg i zimno dokuczy.

Dokuczyło też znać nie tylko temu, co się niepotrzebnie zaplątało, lecz i jemu samemu,

gdy się za kołnierz nalało, bo wkrótce kabat zarzucił na głowę a ochraniając felpową zieloną czapkę, lisią skórą obramowaną, zostawił na pastwę deszczu resztę swojej rozrosłej postaci.

— Będę tak czekał choćby do rana, — rzekł sobie, chroniąc się za wystającą skarpetę domostwa.

Nie długo wszakże czekał, bo oto jakaś silna ręka schwyciła go za kark, a drugi drab nie wiedzieć skąd wyrosły, zaświeciwszy mu kagankiem z pod oponczy wyjętym rzekł:

— A tuś mi, ptaszku!

I nie zważając na opór, zakneblowali mu usta i mimo oporu z sobą powiedli.

Złość wielką ogarnęła młodzieńca, — po chwili wszakże, gdy pochwycił kilka słów z rozmowy onych drabów, rzekł sobie:

— Et, nie mi nie robią, — a co przygoda, to przygoda!

W jakiś czas przywiedziono go na ratusz i wprowadzono do niewielkiej izby, ogniem na kominie oświetlonej.

Wtedy jeden z drabów popchnąwszy Mikołaja rzekł do towarzysza:

— Pilnujcież go Mateuszu, a ja pójdę po naczelnika.

— Możebyś po drodze dzban piwa i wianek kiełbasy przyniósł, — ozwał się Rej, sięgając do mieszkania ukrytego w zanadru.

— Dam ja tobie piwo, ty złodziejska sforo! — mruknął drab, poglądając jednak pilnie na ruchy przyprowadzonego więźnia.

— Jak nie, to nie, — rzekł obojętnie Rej strzepując deszcz z kubraka tak silnie, że aż oczy zalał obu swoim stróżom.

Drab otarł się rękawem a widząc, że więzień wcale nań nie nalega rzekł wyciągając rękę:

— Daj, — przez miłosierdzie i to czelek uczyni.

— Jenó nie czyń nadto miłosierdzia nad sobą i nie upij się po drodze! — odparł Rej rozkazując, dając mu tynfa.

— A wracaj, bo mi się kieszki kurczą! — dodał.

Ale tego rozkazu już drab nie słyszał, jenó zamykał drzwi na potężną zasuwę.

Wszakże nie chcąc sobie nic mieć do wyrzucenia odemknął w tychże drzwiach nie wielkie okienko i przygroził:

— Baczcie jenó Mateuszu, coby się nie powiesił albo nie czmychnął!

— Bacz jenó, żeby ciebie nie powieszono! — zawołał groźnie więzień wyręczając stróża.

— A siadłszy na ławie przy ogniu wyciągnął nogę z setnie zmoczonym butem, rozkazując:

— Ściągaj!

— Jesce cego!? — obruszył się Mateusz.

Ale imię Mikołaj pochylił go ku swoim nogom tak silnie, że stróż nie namyślając się, spełniał jego rozkaz.

— Żeby cię, — mruczał pacholek, siłąc się na zciągnięcie przemokłego buta.

— Nie mruż i nie klnij, a ciesz się, żeś dostąpił takiego szczęścia, — mówił Rej wyprężając nogę.

— Żeby cię! — zawołał ze złością Mateusz.

<sup>1)</sup> Opis wojen według St. Kluczyckiego p. t. «Mrówki».



## Wesele u Chomika.

Na polance, na zielonej,  
W środku lasu położonej,  
Brzmi radośnie pszczoł kapela  
Pod przewodnictwem pana trzmiela,  
Świerszcze do taktu ćwierkają  
A koniki pomagają.  
Bo to dzisiaj dzień radosny  
Kończącej się pięknej wiosny  
Zaczynającego lata.

Co tylko w sąsiedztwie żyło,  
Na wezwanie pośpieszyło.  
Polne myszki rej już wiodą,  
Otoczyły pannę młodą,  
I poskocznie a wesoło  
Taneczne prowadzą koło.  
Wiewióreczki też przybyły,  
Ogonkami się nakryły,  
Lecz, że na wyżynach siedzą,  
Z pogardą tańczących śledzą,  
Oczkami jednak zerkają,  
Gdzie zajaczki słupkiem stają.



Ziemia dziś się z niebem brata,  
Kwiatów wonie, słońca blaski.  
Świat radują z Bożej łaski,  
A przepióreczka wesoła,  
„Pójdźcie żać!” na żeńców woła.

Na polankę dzś pośpiesza,  
Z różnych stron wesoła rzesza,  
Ważna jest temu przyczyna:  
Chomik żeni swego syna  
I wyprawia dziś wesele.  
Już się zeszło gości wiele,

Wnet się młodzież przybliżyła,  
Panny w taniec zaprosiła,  
Zapomniały o godności  
Skaczą w szczerej wesołości.  
W cieniu lipy nieco dalej,  
Wszyscy starsi zasiadali,  
Susły, krety, szczury sławne,  
Wspominają czasy dawne,  
Kiedy wszystko lepiej było,  
I słońce jaśniej świeciło.  
Chomik w serdecznej radości,  
Wszystkich wita, wszystkich gości.



Życzenia jego spełnione  
Dziś synowi daje żonę,  
Ta, co przyjął w dom sierotą  
Dolę mu zapewnia złotą.

(D. c. n.)



## Skaleczony paluszek.

— Babciu, boli mnie paluszek, patrz skaleczyłem się nożem! — woła mały Władzio.

Babcia opatrzyła maleńką ranę, ale Władzio płakał i nie miał ochoty do żadnej zabawy.

Dobra babunia tłumaczyła chłopcu, że lzy na ból nie pomogą, że zapomni o nim, jeśli zajmie się jaką zabawą, ale zadąsany Władzio stał w kącie i mruczał coś pod nosem.

Nudna to rzecz być obrażonym, panowie Obrażalscy nigdy się dobrze nie bawią, bo najlepszą zabawę psują im dasy. Radzę wszystkim z całego serca nie iść za przykładem Władzia, on sam spostrzegł też wkrótce, że stać pod ścianą to rzecz bardzo nie zabawna. Chciał zgody z babcią, ale wstyd mu było przyznać to otwarcie. Zbliżył się więc powoli do fotelu, na którym siedziała babunia i mruknął obrażonym głosem:

Mama daleko lepsza, babcia mnie nic nie żałuje, chociaż skaleczyłem paluszek.

Babcia się roześmiała, wzięła wnuczka na kolana i pokazała mu dziewczynę, która pełła kwiatki na grządce koło okna.

— Znasz Władziu Marysię, tę z czworaków?

— Znam, — odpowiedział zaciekawiony chłopiec.

— Pamiętasz, że w sobotę, to jest dwa dni temu, przecięła sobie rękę sierpem, widziałeś sam, jak trudno było owinąć ranę, bo krew wydobywała się przez płótno.

— To i co? i z mojego paluszka płynęła krew.

— Płynęła czy to prawda, Władeczku, powiedz?

Władek spuścił głowę zawstydzony, a po chwili zawołał z uporem:

— Mnie też bolał paluszek!

— Bolał, prawda, wiedz jednak, że nikt się uchronić od bólu nie może.

— Dlaczego babciu? — zawołał zdziwiony chłopiec.

— Takie jest prawo Boże, każdy człowiek cierpieć musi. Szanujemy tych, którzy cierpią odważnie, a gardzimy tchórzami, którzy narzekają.

— Jak ja babciu?

— Jak ty. Marysia cierpi odważnie, bo chociaż ręka boli ją jeszcze, pracuje, więc ją szanuję Marysię.

— A mnie?

— Za ciebie wstydzę się, płaczesz i narzekasz, a przecież twój paluszek już prawie zupełnie zdrow.

— To babcia więcej kocha Marysię niż mnie?

— Nie, ty jesteś mój wnuczek, ciebie więcej kocham, myślę przytem, że się poprawisz i przestaniesz płakać o każdą drobnostkę.

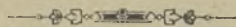
A czy wtedy babcia będzie mnie szanowała?

— Tak, bo wtedy nie nazwie cię nikt tchórzem, tylko dzielnym człowiekiem.

Władzio zamyślił się, potem zeskoczył z kolan babci i pobiegł do Marysi. Zrzucił płótno, którem babcia owinęła mu paluszek i pomagał wyrywać chwast na grządce pod oknem.

Będzie z niego dzielny człowiek, zobaczycie.

Z. Bukowiecka.



J. PIASECKA.

## Dzielny Jędrus.

(Ciąg dalszy).

VII.

Jędrus znalazł nareszcie to, czego szukał, znalazł pracę — prawdę najcięższą jaką może być dla biedaka, był z niej jednak rad nad wyraz.

Wychodził z robotnikami równo ze świtem, a gorliwszego pracownika trudno było znaleźć. Uwijał się z taczkami i nie odpoczywał prawie, Sikora nie tylko nie potrzebował go zachęcać, ale nawet studzić jego zapał do pracy.

— Wolniej, wolniej mały, zobaczysz, nie długo ustanieś, nie ten wygrywa, co prędko zaczyna, a w połowie drogi staje, ale ten co zawsze jednakowo umiarkowanie idzie do końca. Czy prędko, czy umiarkowanie zawsze tylko 50 kop. dostaniesz, a jak dziś siły zerwiesz, to jutro nic robić nie będziesz. Widzisz i ja nie próżnuję. Każdy grosz sumiennie zapracuję, ale przecież tak długo nie mógłbym machać jak ty. Siły człowieka też zawodzą, trzeba się z niemi liczyć mój chłopcze.

Miał słuszną Sikora. Jędrus dziecko niedoświadczone nie rozumiał tego, a przecież



Z butem z lewej nogi poszło mu jako tako, ale z prawej ani weź.

Pociągnął wreszcie tak silnie, że w prawdzie but zsuł, ale i sam znalazł się przy drgiej ścianie, przewracając przy tem koziołka.

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się Mikołaj, — tęgi z ciebie skoczek.

— Ale, Boga mi, nie będziesz miał szczęścia drugi raz zciągać mi buty, a i ten naderwany musisz zeszyć, — rozkazywał.

— No prędzej, — zabieraj się do roboty!

Mateusz tymczasem kłął na czem świat stoi, trąc głowę i inne członki silnie potłuczone, niebywałym dla siebie, a gwałtownym skokiem.

— Czy chcesz drugi raz wywinąć koziołka? — zapytał Rej groźnie.

— A żeby cię jasne pioruny... — zaklął pacholek.

Lecz nie zdążył dokończyć, gdy znalazł się przy kominie.

— Oj! — jęknął, nie pojmując szybkości, z jaką Rej zmusił go do tego skoku.

— Zszywaj prędko! — przynaglał.

— Nie mam czem... — burknął Mateusz poglądając z podełba.

— Łzesz, bo oto dratwa i szydło tuż przy tobie leża! — zawołał Rej podrzucając je nogą.

— W Imię Ojca i Syna... — przeżegnał się chłop z wielkim przestachem, poglądając na leżące przed kominem przedmioty.

— Prędzej! — rozkazywał dalej Mikołaj.

Chłop przeżegnawszy się raz jeszcze, wziął z zabobonnym przestachem szydło i dratwę i drżącą ręką począł zszywać but naderwany.

— Jakiś pocziwiec, co tu był przede mną, znać się szwiecstwem zajmował, — żebym wiedział, gdzie się znajduje tobym mu podziękował, — myślał sobie Rej wyciągając się na ławie i mrugając to jednym, to drugim okiem.

— Żeby też, nie przygotować dla takiego jak ja gościa choćby wilczej skóry, jeno prostą ławę, — rzekł głośno, przewracając się z boka na bok.

W końcu zamknął oczy i udawał czy też spał rzeczywiście.

Mateuszowi pot kroplisty spływał z czoła, ale nie przerywał roboty. Ostatni wreszcie ścieg uczynił, a chociaż nie bardzo foremnie, cholewa wszakże trzymała się buta.

W tem zasuwła zgrzytnęła i ukazał się jego towarzysz.

— Toście mnie ustroiłi, przecież w nim czart siedzi, — szepnął do wchodzącego Mateusz.

— Bacz, żeby w ciebie nie wlaź! — zawołał Rej, który jak wzrok, tak i słuch miał nie byle.

I nie ruszając się z ławy zawołał:

— Dawaj piwo i kielbasę!

— Dam albo i nie dam, — odrzekł stróż hardo.

Lecz znów ani się spodział, gdy głową stanął na ziemi, a nogi jego w przemokłych łapciach, sterczały do góry, trzymane żelazną ręką imię Mikołaja.

— Śmierdzisz błotem i brudem, — ozwał się Rej, rzucając nim jak piłką.

Przy czem z zanadru wypadły mu dwa wianki kielbasy i dwie skórzane fiasze piwa, i potoczyły się po glinianej podłodze.

— Przechorny jesteś, — myślałeś i o towarzyszu, — rzekł Rej zabierając przyniesiony posiłek.

Pociągnął z jednej skórzni i wykrzywiając się, rzekł:

— Lura!

Potem ugryzł kawałek kielbasy i znów zawołał.

— To ze zdechłego psa chyba kielbasa.

I jedno i drugie oddał Mateuszowi.

Spróbował drugiego wianka i z drugiej skórzni.

— Lepsze ale nie tegie.

I począł zajaść, mówiąc:

— I żeś za drogę sobie zapłacił, a dla towarzysza gorsze przyniosłeś, nic nie dostaniesz.

Przybyły pacholek mamrotał coś pod nosem, lecz właśnie z tego nosa i całej postaci znać było, że Rej miał słuszność, posądzając go, że już sobie użył.

W tem na schodach dały się słyszeć kroki, brzęczenie łańcuchów i wleczenie czegoś bardzo ciężkiego. Wszedł też zaraz *naczelnik*, który był poprostu zarządzającym pacholekami i stróżami nocnymi, a z nim dwóch jeszcze drabów wlokących ni mniej ni więcej jeno dyby i dwa łańcuchy na ręce.

Rej nasyciwszy się przytęchłą kielbasą, popił niezbyt smakowitem piwem i wyciągnięty spoczywał na ławie, nie racząc nawet otworzyć oczu lub podnieść głowy na łoskot otwierających się podwoi.

— Dalej, nie marudzić, nakładać dyby, albo pierwej łańcuchy, — rozkazywał ów *naczelnik*.

Rej uchylił jedno oko, potem drugie, i spuściwszy nogi, spojrział z drwiącym uśmiechem na przybyłych.

Lecz ów *naczelnik* stanął jak oniemiały, a jeden z przybyłych pacholeków miasto zakładać go w dyby rzucił się ku niemu, wołając:

— Mikołajek! imię pan Mikołaj, a skądże się tu wziął?

*Naczelnik* zaś poczęstował najpierw kułakiem jednego z drabów, potem zdziwionego Mateusza i groźnym głosem zawołał.

— A wy psie syny, przedęte piszczałki, gałgańskie organki, coście zrobili!

— Wiecież wy kogoście przyprowadzili? Toć to imię Mikołaj Rej, bratanek księdza proboszcza z Topoli, a nie Kurek zbój, co by się potrzebował ukrywać.

Draby, jak mogli, tak się tłumaczyli, a tymczasem Rej mówił:

— Furda, że mnie wzięli za zbójca, ale jakże ty się Pietrek tu dostał?

— Wytargał me jegomość raz i drugi za uszy, zakrystyanowi zagroził, że go zamknie w dyby, a mnie do karczeru, uszliśmy tedy...

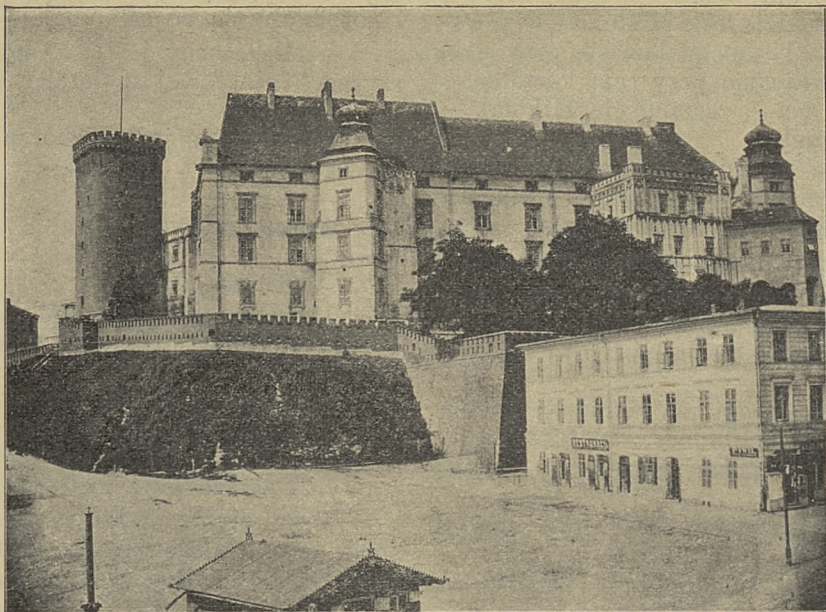
— A za cóż to wam zagroził? — pytał Rej, wciągając przeszkłe nieco buty.

— Iii...

(D. c. n.)







Zamek Krakowski od strony baszty „Kurza Stopa”.

*B. Dyakowski.*

## Z wycieczek wakacyjnych.

### Z Krakowa do Rabki.

(*Ciąg dalszy.*)

Chabówka! magiczne słowo, poruszające do głębi tych wszystkich, którzy kiedykolwiek marzyli o wycieczce do Zakopanego i Tatr. Stąd właśnie idzie droga do tych „odwiecznych dziedzin strażnic Piastowych“, które wznoszą się dumnie i majestatycznie

Jak potopu świata fale  
Zamrożone w swoim biegu!

Od Chabówki kolej do Zakopanego idzie w górę doliną Raby, aby następnie przebiwszy się przez parę sztucznych przekopów w poprzek Beskidu, wjechać w dolinę Dunajca i nią już dotrzeć do Zakopanego.

My jednak jedziemy dalej koleją podkarpacką w dół Raby, bardzo wąskim wąwozem tak wąskim, że nie widać wcale sąsiedniej Rabki, pomimo iż jest odległa zaledwie o 3 kilometry (nie całe 3 wiorsty). Sterczą jedynie czubki okalających ją wzgórz, ale dalszy przebieg doliny i jej stoki zasłania nam załom wąwozu.

Zobaczymy ją zresztą za chwilę. Te kilka kilometrów pociąg przejeżdża w parę minut i wysuwa się z wąwozu na nieco szerszą dolinę, w której między górami rozłożyła się po obu

brzegach Raby wieś Rabka z jednej strony na lewo od linii kolei, a z drugiej na prawo rozsiadł się na stokach wzgórza zakład kąpielowy, którego domy kryte czarnymi gontami lub czerwoną dachówką, rozrzucone są malowniczo na tle zielonych drzew parku i zieleniejących się pól oraz łąk okolicznych.

Wies ukryta w dole nie rzuca się tak bardzo w oczy, ale domki zakładowe widoczne są od pierwszej chwili, w której pociąg zaczyna się wysuwać z wąskiego wąwozu chabowskiego.

Zanim obejrzelismy się, stajemy już przed małą stacyjką, tak małą, że zatrzymanie się pociągu jest prawdziwą niespodzianką dla jadących pierwszy raz i nie wiedzących o tem, że tu właśnie znajduje się dworzec. Rabka, pomimo znacznego ruchu w lecie, jest tylko przystankiem, a nie stacją.

Od stacji do zakładu jedzie się w górę gościńcem 700 metrów (około  $\frac{2}{3}$  wiorsty). Po drodze mijamy po prawej ręce cmentarz, pełen zieloności i drzew. Po prawej ściąga naszą uwagę nadzwyczaj oryginalna i ładna sosna, rosnąca na przeciwko cmentarza, na wzniesieniu nad drogą, na samym jego skraju tak iż znaczna część jej korzeni wystaje na zewnątrz. Można się obawiać, iż sosna ta zwali się z czasem i upadnie, skoro deszcze i wody wiosenne rozmyją jeszcze bardziej ziemię między jej korzeniami. A szkoda byłoby tego niezwykle pięknego drzewa i wartoby pomyśleć zawczasu o zabezpieczeniu go przed wywróceniem się!

Za cmentarzem ciągnie się znów kawał



pola, a za nim zaczyna się park zakładowy, najpierw nowy, zasadzony młodem, ale już dość rozrośniętymi drzewami, a następnie stary, mieszczący w sobie cały zakład.

Tuż przed wejściem do niego widać duży, porządnie zbudowany dwupiętrowy budynek kolonii leczniczej, założonej przez doktora Macieja Jakubowskiego, profesora Wszechnicy Jagiellońskiej, przeznaczony dla niezamożnych dzieci, potrzebujących kuracji solankowej.

Zaraz za kolonią wznosi się pierwsza zakładowa willa „Laura“. Jesteśmy już u celu podróży.

dowoli, zwłaszcza w dni słotne, nie pozwalające hasać po ulicach parku i trawnikach.

Na deptak wchodzi się po kilku schodkach. Stanowią one rzecz wielce pociągającą dla młodszej dziatwy, zwłaszcza takiej, która dopiero niedawno nauczyła się sama chodzić po schodach. Dzieci takie zamiast iść ulicą, równoległą deptaka, muszą zawsze wbiedz po schodkach na deptak, i przebiegłszy z hałasem po drewnianej jego podłodze, zejść tryumfalnie po schodkach z drugiego końca.

Za łazienkami znajduje się budynek z solnicą elektryczną, pompującą wodę ze źródła, a także dostarczającą światła do lamp w parku



Nowa kolonia lecznicza w Rabce.

## II.

### Zakład kąpielowy w Rabce.

Oczyściwszy się z kurzu i rozgościwszy się w mieszkaniu, idziemy zwiedzić zakład. A że zawsze zaczynać należy od rzeczy najważniejszych, dążymy więc najpierw do tej jego części, w której mieszczą się źródła i łazienki.

Znajdują się one w drugim końcu zakładu, w stronie przeciwnej tej, którąśmy przyjechali od kolei, przy bramie, rzeki Słonki i położonej za nią wioski Słone. Słonka płynie tuż za parkiem zakładowym, okrąża zakład i następnie oddalwszy się w kierunku północnym, wpada po Raby, poniżej przystanku kolejowego.

W tej części zakładu widzimy dwa budynki, mieszczące łazienki I i II klasy; niedaleko nich kiosk nad źródłem wody mineralnej do picia, przed nim wodotrysk, a na przeciwko długi kryty deptak, po którym można biegać

i mieszkaniach. Z wnętrza jego słychać przez cały dzień turkot kół, nie milkący aż do późnej nocy, bo chociaż już ustanie pompowanie wody, trzeba pamiętać, aby w zakładzie nie zrobiło się ciemno, aby nie przestały być czynnymi duże lampy, umieszczone w parku na wysokich słupach, i mniejsze znajdujące się we wszystkich pokojach zakładowych.

Przed łazienkami ruch, bo chociaż każdy stara się odbyć przepisaną kąpiel w godzinach przedpołudniowych, ale, że nie wszyscy mogą się kąpać razem, nie jeden więc musi kąpiel odłożyć na porę poobiednią. Dążą więc i teraz do łazienek kuracyusze z torebkami, zawierającymi prześcieradła; a inni natomiast wychodzą stamtąd.

Ruch i życie panuje tutaj.

Ale nie zawsze tak było. Przed 50 laty nie było tu ani tych lamp elektrycznych, ani łazienek, ani kiosku, ani żadnego z tych do-



mów, w których dziś mieści się tyle osób, przybyłych dla kuracyi. Na pochyłości wzgórza ku Słońce znajdował się tutaj zwykły ugor, po którym pasali bydło góralscy chłopacy i dziewczęta. Był to sobie taki, zapuszczony i cichy górski zakątek: nikt tu nie przyjeżdżał, ani nikt się tu nie leczył.

Czemże się to działo, że te cenne lecznicze źródła tak długo były nieznane, że je odkryto znacznie później, niż Amerykę, chociaż odległe są od Krakowa zaledwie o kilka godzin, a droga do nich bezpieczniejsza była, niż przeprawa przez ocean za czasów Kolumba?

O leczniczych własnościach tutejszych źródeł przekonano się istotnie dość późno, znane jednak były oddawna i oddawna ludzie korzystali z zawartej w nich soli. A, że przed 50 laty panowała tu pustka i źródła były nieczynne, to już wina rozmaitych okoliczności dziejowych. I źródła lecznicze mają swoje historie!

Tutejsze źródła leżą w obrębie długiego pasa pokładów solonośnych, które się ciągną wzdłuż północnych stoków Karpat, zarówno zachodnich, jak i wschodnich, a sięgają dość daleko na północ, bo aż pod Kraków, gdzie znajdują się słynne kopalnie soli w Bochni i Wieliczce.

Wody podziemne, przepływające przez te pokłady, rozpuszczają pewną ilość zawartej w nich soli, i następnie wydobywają się na powierzchnię, jako źródła słone. Takich źródeł słonych znajduje się bardzo dużo na północnych stokach Karpat. Mnóstwo nazw rzek, rzeczek lub miejscowości wskazuje wyraźnie na ten związek z solą, jak Soła (dopływ Wisły), (Sól wieś nad Solą), Raba (przekręcone „ropa“), Rabka, Słonka, Słone i t. d. Jeszcze więcej takich źródeł znajduje się pod ziemią i wodę słoną można otrzymać dopiero po wykopaniu mniej lub więcej głębokiej studni.

Wszystkie te pokłady i źródła słone stanowią wielkie bogactwo kraju, gdyż dostarczają ludności tak ważnego i nieodzownie potrzebnego produktu, jakim jest sól. Lecz posiadają one także i duże znaczenie lecznicze, przekonano się bowiem, że kąpiele w wodzie słonej działają nadzwyczaj zbawiennie w różnych chorobach, zwłaszcza dziecięcych. Szczególnie skuteczne są wody, zawierające obok soli piarwiastki, zwane jodem i bromem, które podnoszą ogromnie ich działanie lecznicze.

(D. c. n.)



## Król Przestrzeni.

Ostatnia powieść Juliusza Verne'a.

Przekład J. P.

(Ciąg dalszy.)

### ROZDZIAŁ XIII.

Na pokładzie „Grozy“.

Gdy odzyskałem przytomność był już dzień. Leżałem na łóżku w ciasnej, skąpo oświetlonej kajucie, starannie okryty kołdrą. Ile godzin upłynęło od chwili mego porwania, nie miałem pojęcia. Sądząc jednak z ukośnie padających promieni, które się z trudem przedzierały przez małe okienka, było jeszcze bardzo rano.

W kacie suszyło się moje ubranie, a przedarty pas walał się na podłodze.

Nie poniosłem żadnej rany, uczuwałem tylko niesłychane znużenie. Sprawę z przebytego niebezpieczeństwa zdawałem sobie doskonale. Lina pociągnęła mnie do wody. Wpadłem głową na dół i byłbym się udusił niewątpliwie, gdyby mnie nie wciągnięto na pokład. Ostatnia scena głęboko utkwiała w mojej pamięci. Hart raniony w nogę leżał rozciągnięty na piasku, Wells celował w kapitana, Walker upadł na ziemię... Wszyscy oni sądzą zapewne, że zginąłem w falach Erie...

Jaką drogę obrała „Groza“?...

Jedno było pewnem, że obecnie znajdowaliśmy się na powierzchni wody. Nie przypominam sobie żadnych wstrząśnień, prawdopodobnie więc kapitan nie przekształcał statku na samochód i nie jechaliśmy wcale lądem, tylko cały czas płynęliśmy po Erie. Gdzie byliśmy obecnie? Czy na rzece Détroit, czy może na jeziorze Huron, albo Górnem? Trudno o tem było sądzić! Przypuszczałem jednak, że na Erie.

Postanowiłem wyrzeć na świat i zorientować się w miejscowości. Ubierałem się z pewnym niepokojem. A może zamknięto mnie na klucz?... Sprobowałem podnieść łklapę w suficie kajuty. Udało mi się na szczęście i po chwili wysunąłem się do połowy na pokład.

Rozejrzałem się wokoło. Wszędzie niezmiernie duża wodna płaszczyzna! Płynęliśmy z ogromną szybkością a fale rozbijając się o przód okrętu rozpryskiwały się w drobniuchne bryzgi, które uderzały mnie po twarzy. Uczułem smak wody słodkiej.

Słońce było jeszcze dosyć daleko od zenitu, najwyżej więc godzin ośm upłynęło od chwili odjazdu z zatoki Black-Rock. Wobec tego, że długość Erie wynosi 225 mil, a szerokość 50 mil, nie dziwiłem się wcale, nie widząc nigdzie brzegów



jeżeli chciał zarobić czterdzieści rubli na Krasulę, to tych sił trzeba mu było dużo, bardzo dużo. To kawał grosza, a z dziennego zarobku ileż można było odkładać na to kupno? Najwyżej 20 kop. Ile to trzeba dni, aby z tych oszczędności zarobić 40 rubli?

Jędrus nie był mocny w rachunkach, zresztą, na co by mu się i liczenie przydało, czyż wiedział jak długo będzie miał tę pracę?

Robotnicy przepowiadali, że roboty na szosie wnet ustaną, że jeszcze z jaki miesiąc, a później przyjdą mrozy, śnieg zasypie, to i trudno będzie wytrzymać, z przeziębienia można umrzeć.

— O jej, byle nie umrzeć, myślał Jędrus, byle nie umrzeć przed odpokutowaniem grzechu, byle krzywdę wyrządzoną dziadkowi wynagrodzić.

Pracował i jadł mało, a choć mizerniał, chudł, na piersiach w szmatce z końcem miesiąca miał schowane 5 rubli.

— Początek najtrudniejszy, — mawiał sobie nieraz dla zachęty, — dalej pójdzie mi już łatwiej, — lecz choć sobie tak obiecywał nie szło mu jednak łatwo. Owszem z nadejściem przymrozków, a później dużych mrozów, położenie się pogorszyło. Buty mu prawie z nóg spadały, wiatr latał po plecach, szyja marzła, ręce miał popuchnięte, czerwone jak raki.

Miewał długie narady z Felkiem, skąd wziąć na jaki taki przyodziewek, jak złemu zaradzić. Felek był również biedny, a choć pieniędzy, jak Jędrus nie składał, nigdy nic nie miał, bo oddawał wszystko matce, która ich kilkoro ledwie wyżywić mogła. Radził mu jednak od czasu do czasu nieźle i pomagał.

— Masz, — mówił, — okręć sobie szyję fartuchem matki, podarty już, ale zdatny do noszenia na szyi, trochę cię ogrzeje. Nogi owinał mu rogożą, starą rękawicą ogrzewał kolejno, to jedną to drugą rękę.

Tak dotrwał do grudnia. Spadły śniegi, mrozy nastały straszne. Zaprzestano robót na szosie, odebrali z kancelaryi ostatni zarobek. Był to bardzo smutny dzień dla Jędrusia. Prawda węzełek zgrubiał, było w nim już 10 rubli, ale zato buty spadały mu z nóg, a w dziurawym ubraniu było tak zimno, że dzwonił zębami jak w febrze.

Nie wychodził prawie ze stancyi. Siedząc przy zimnym kominie, bo palili w nim mało z powodu drożyzny węgla, naradzali się z Felkiem, co dalej robić będą. Trudno czekać do wiosny i siedzieć z założonymi rękami, trzeba wędrować do miasta za zarobkiem. Muszą iść do Łodzi.

Tak, iść, ale jakże pójdzie Jędrus? Czy ma naruszyć pieniądze przeznaczone na krowę?

Do izby Sikory wszedł w tem jeden z robotników, a obejrawszy się po kątach i ujrawszy Jędrusia, rzekł:

— Jesteś tu jeszcze, a no to dobrze, pójdziesz ze mną?

— A gdzież go to prowadzić chcecie? — spytał Sikora, — toć to prawie bose, a tak zimno.

— Ech, niedaleko, do Kolaka tylko.

— A cóż on, chory, po cóż mu Jędrus?

— Ma interes.

— Niech idzie kiedy tak.

Jędrus poszedł, robotnik zaprowadził go do domu, w którym w małej izbie, leżał chory robotnik.

Na odgłos wchodzącego Jędrusia uniósł głowę i kiwnął by się zbliżyć.

— Słuchaj Jędrusiu, masz czas?

— Mam.

— Umiesz czytać, to usiądź tu przy mnie i czytaj mi modlitwy. Niedługo umrę, wiem to, czuję. Jutro poprosisz księdza, chcę skończyć z tym światem i pojednać się z Bogiem. Uprzątnij izbę czysto, zapal gromnicę. Dorze, zrobisz to dla mnie?

— O z całego serca, — zawołał rozżalony Jędrus, z litością patrząc na chorego, — wszystko zrobię, co tylko chcecie.

Chory przymknął oczy.

— Niczego więcej w tem życiu już mi nie potrzeba, tylko słowa pociechy, da mi ją modlitwa i twoja prośba, Jędrusiu módl się za mnie.

Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale się zakaszła, Jędrus z pośpiechem wykonał polecenie, usiadł przy chorym na niskim stołeczku i czytał.

Chory chciwie łowił każde słowo.

Tak przeszła noc, rankiem przyprowadzono księdza.

Sąsiedzi i znajomi zeszli się dosyć licznie, ubolewali, żalowali, że tak młodo świat ten opuszcza, a gdy akt religijny spełniony został, izba powoli opustoszała, pozostał tylko Sikora z Felkiem i Jędrusiem, chory kiwnął na nich i rzekł:

— Jędrusiu, Bóg ci zapłać za to nocne przy mnie czuwanie i te modlitwy, nie wiem, czy jeszcze ten dzień przeżyję. Pieniądzy na pogrzeb trochę złożyłem, niech je Sikora weźmie, wiem, że mnie uczciwie pochowacie. Są tam jeszcze dobre buty, com je niedawno kupił i palto prawie nowe, weź to sobie Jędrusiu, jesteś biedny, a czasem wspomnij o mnie w pacierzu.

Zmęczył się tą mową, oddychał ciężko. Jędrus podawał mu od czasu do czasu trochę ciepłej herbaty, później znów czytał modlitwy, a wieczorem chory usnął snem wiecznym.



Jędrus serdecznie zapłakał, żal mu było dobrego, pocziwego Kolaka, modlił się też za jego duszę i mówił:

— Panie Jezu Chryste przyjmij go do chwały swojej, daj mu wieczne odpoczywanie.

Z pogrzebem załatwiono się prędko, inni lokatorzy zajęli zaraz izbę, ubranie przeznaczone dla Jędrusia przeniesiono do Sikory. Narada nad niem była długa. Sikorowa była za tem, aby je zatrzymał Felek, a swoje oddał Jędrusiowi.

— Jak on będzie wyglądał w tem palcie, taki mały. Nasz chłopak smagły i wysoki, to co innego, a i buty też mu nie przystoją. Weź je stary, dla ciebie będą w sam raz, a swoje daj temu małemu.

Dla Sikorów zamiana wypadła pomyślnie, Jędrus chociaż to zmiarkował, nie przeczył.

Felek miał ogromną ochotę na palto, spoglądał na nie roziskrzonym wzrokiem.

— No, Jędrus, weź moją kapotę, jeszcze dobra, ciepła bo watowana.

— A toć, a choć tam nie taka galanta, — dodała Sikorowa skwapliwie, to takiemu smykowi, co całej koszuli na grzbiecie nie ma, taki przyodziewek nie potrzebny, nie namyślaj się i róbmy interes, dodam ci jeszcze koszulę Felka, żebyś nie miał krzywdy, cóż przystajesz?

Jędrus uśmiechnął się.

— Dobrze, — rzekł, dziękuję wam, niech Felek bierze, a i wy, panie Sikoro, weźcie buty, a dajcie swoje. Wy wszyscy jesteście dla mnie dobrzy, dajcie mi schronienie i opiekę, mnie to więcej znaczy jak całe buty.

Zakończono sprawę ze wspólnem zadowoleniem, i nikt nie przypuszczał, żeby dzień pogrzebu biednego suchotnika, tak się pomyślnie zakończył dla Sikorów.

(D. c. n.)

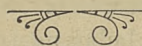


### Sprytny Wicus.

— Mamusiu, proszę jeszcze jednego cukierka.

— Nie można, mój kochany, zjadłeś już wszystkie, jakie były na dziś dla ciebie przeznaczone.

— To niech mamusia będzie łaskawa dać mi jeden z przeznaczonych na jutro..



## Zadania i łamigłówki.



### Arytmogryf ósemkowy.

			1				
		2	3	4			
	5	6	7	8	9		
8	10	11	6	3	4	12	
	3	4	9	13	3		
		3	14	15			
	8	12	9	16	3		
11	7	6	12	9	17	18	
	16	19	9	8	20		
		7	14	12			
			21				

Zamiast liczb postawić należy głoski tak, aby środkowy szereg czytany z góry na dół utworzył pseudonim współczesnego powieściopisarza polskiego.

#### Znaczenie wyrazów:

1) Spółgłoska; 2) Trucizna; 3) Nazwa kraju; 4) Miasto powiatowe w gub. Kaliskiej; 5) Rzeka, wpadająca do Adryatyku; 6) Wykrzyknik; 7) Wyrób szklany; 8) Nazwa rasy ludzkiej; 9) Zjawisko świetlne; 10) Czasownik w trybie rozkazującym; 11) Spółgłoska.

### SZARADA.

uł. Aes

*Pierwsze* — wszystkim wiadomo, że na ogniu woda.

*Drugie* — zawsze znajdziecie choć w najmniejszej chacie.

Niechże wam ułatwienia wiadomość ta doda,  
Że obecnie na całej ziemi *cały* macie.

### METAGRAM.

ułożyła Stefcia z Radomska.

Przez **b** służy do mebli wyrabiania,

Przez **ł** przyrząd, co służy do strzelania,

Przez **h** ogłos znajduje zawsze w lesie,

Przez **z** owad, co szkodę ludziom niesie.

### Rozwiązania do № 34-go.

- I. Ko—ble—rzec.
- II. Ma—ry—na—ty.
- III. Ka—ka—o.
- IV. Za—i—mek.
- V. Flo—ren—ty—na.





Na pokładzie znajdowało się dwu ludzi. Jeden stał na przodzie, wpatrzony w rozciągającą się przed nim bezkresną przestrzeń, drugi u steru, kierując ku półno-wschodowi. Pierwszym był jeden ze szpiegów, czatujących na mnie przy ulicy Long-Street, drugim ten, co niósł latarkę, gdy obaj szli do lasu.

Daremnie szukałem trzeciego, który nosił nazwę „Kapitana”... nie było go nigdzie..

Łatwo pojąć, jak gorąco pragnąłem stanąć oko w oko z tym śmiałym wynalazcą, który nie obawiał się wystąpić do walki z całą ludzkością, którego sława rozbrzmiewała po całym świecie, a który się tak dumnie tytułował „*Królem przestrzeni*”!..

Zbliżyłem się do człowieka, stojącego na przodzie statku i po chwilowym milczeniu zapytałem:

— Gdzie kapitan?

Spojrzał na mnie z pod oka, lecz nie raczył odpowiedzieć, chociaż ze słów zamienionych na brzegu, wiedziałem, że rozumie po angielsku. Obecność moja na pokładzie zdawała się nie wzruszać go wcale. Odwrócił się ode mnie plecami i w dalszym ciągu obserwował horyzont.

Wtedy zwróciłem się do sternika, chcąc mu zadać to samo pytanie, lecz on usunął mnie ruchem ręki, nie mówiąc ani słowa.

Wobec tego postanowiłem czekać cierpliwie na ukazanie się samego kapitana, który powitał nas wystrzałami z rewolweru, gdyśmy w zatoce razem z Walkerem usiłovali przyciągnąć statek do brzegu.

Tymczasem zacząłem przyglądać się „*Grozie*”.

Pokład i kasztele zbudowane były z jakiegoś metalu, którego rozpoznać nie mogłem. W środku znajdowała się kłapa, którą można było podnosić, a która prowadziła do maszyn, pracujących bardzo cicho i równomiernie.

Nie było ani komina, ani masztu, ani żagli. Przyrząd optyczny, tak zwany heryskop, ułatwiał prawdopodobnie kierowanie pod wodą. Po obu bokach pokładu znajdowały się jakieś dziwne, nieznane mi przyrządy, których użytku nierozumiałem wcale.

Z przodu i z tyłu statku spostrzegłem klapy kwadratowe, które prowadziły do kajut; klapy te, otoczone ramą z kauczuku, zamykały się bardzo szczelnie, ażeby woda nie mogła przeniknąć do wnętrza, gdy statek zanurzał się w głębiny. Nie widziałem ani motoru ani śrub, ani turbin. Zauważyłem tylko, że statek pozostawiał za sobą nikłą smugę.

Widocznem więc było, że motoru nie poruszała ani woda, ani nafta, ani alkohol, a tylko elektryczność, nagromadzona do wysokiego punktu napięcia. Gdzie było jej źródło? Czy wytwa-

rzały ją stopy, czy akumulatory? Jakiego systemu? Czy znajdę kiedy rozwikłanie tej zagadki?

Potem myśl moja wróciła do towarzyszy wyprawy, pozostałych na brzegu zatoki. Hart był raniony, a może Wells i Walker również. Widzieli jak kotwica unosiła mnie od brzegu, prawdopodobnie sądzą, że zginąłem.

Czyż mogą przypuszczać, że zabrano mnie na pokład *Grozy*?.. Wells telegraficznie zawiadomił o mojej śmierci pana Warda, któż się teraz ośmieli przedsięwziąć wyprawę przeciw Królowi Przestrzeni?

Te i tym podobne myśli tłoczyły się w mej głowie podczas gdy z niecierpliwością oczekiwałem na przyjsie kapitana.

Lecz ten się nie ukazywał.

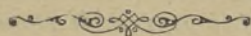
Głód dokuczał mi srodze. Przeszło dwa nacie godzin nic w ustach nie miałem... zdawało mi się, że się nikt o moje pożywienie... nie troszczy. Nagle człowiek, stojący na przodzie statku zeszedł na dół i wrócił po krótkiej chwili. Z radością spostrzegłem, że przyniósł mi kawał mięsa solonego, suchary i kufel czarnego piwa. Z zapałem zabrałem się do tego śniadania. Marynarze nie dotrzymywali mi towarzystwa. Widząc, że nie mają wcale zamiaru rozmawiać ze mną, pogрузyli się znowu w rozmyślaniach, jak się zakończy cała ta przygoda?... Czy ujrzę wreszcie tego mytycznego kapitana?... Czy zwróci mi swobodę?... Czy zdołam się wymknąć wbrew jego woli?... Prawdopodobnie będzie to zależało od okoliczności... Nie mogę nawet marzyć o ucieczce, dopóki *Groza* płynie będzie środkiem jeziora... tem mniej jeżeli się zanurzy w głębiny... Chyba, że się przekształci na samochód...

Lecz nie miałem najlżejszej ochoty do wydostania się na swobodę przed zbadaniem tajemnic tak dziwnego statku. Wyprawa moja nie została wprawdzie uwieńczona powodzeniem, nawet nieomal nie utraciłem w niej życia, lecz bądź co bądź był to ważny krok naprzód.

*Groza* posuwała się ciągle w kierunku północno-wschodnim, tj. w kierunku długości Erie, płynęliśmy ze średnią szybkością, pomimo to obliczałem, że za kilka godzin będziemy na samym krańcu jeziora, tam gdzie się ono łączy z Ontario za pośrednictwem rzeki Niagary. O 15 mil poniżej Buffalo znajdują się owe sławne wodospady... Wobec tego, że kapitan nie zwrócił się na rzekę D troit, pozostaje mu tylko przybić do brzegu i przekształcić statek na samochód.

S nce przesz  po udnik. Pogoda by a wspania a, upa  silny, lecz zno ny, dzi ki ch dzcemu wietrzykowi. Brzeg w jeziora nie wida  by o wcale.

(D. c. n.)





## Bezrobocie zwierząt.

Żarcik sceniczny w trzech odstępach  
przerobiony z ang. przez B. Buyno.

(Dokończenie.)

### SCENA III.

PAN BRZOZA (*gorączkowo*). Słusznie pan mówisz, słusznie! Straszne położenie! Brak mleka—upadek gospodarstwa mlecznego! Brak wołów—upadek rolnictwa! Brak jedwabiu, skór, miodu, futer—upadek przemysłu! Brak koni—upadek ruchu! Radźcie panowie, jak się ratować?

CZŁONEK TOWARZYSTWA. Mówiliśmy właśnie, że najlepszym środkiem jest sprawiedliwość. W nieobecności pana prezesa sekretarz spisał odpowiednią uchwałę, którą pan prezes zechce podpisać. (*Prezes podpisuje z wachaniem, za nim członkowie*).

(*wchodzi zadyszany sekretarz*).

### SCENA IV.

SEKRETARZ. Panowie! wracam z ulicy. Co za widok! Jak ślicznie zwierzęta formują się w oddziały! Jak porządnie idą! Przemawiałem do starych koni i do źrebiąt: bardzo rozsądne stworzenia... Psy także... rozmawiałem z nimi...

CZŁONEK TOWARZYSTWA. Młodzieńcze zastanów się, co mówisz? Tu jest zebranie ludzi poważnych! A ty nam opowiadasz żeś rozmawiał z psami i źrebiętami? Opaniętaj się, młodzieńcze!

SEKRETARZ. A jednak to prawda. Zwierzęta poprostu patrzą i słuchają, gdy do nich mówić, sędzę, że rozumieją o czem mowa. A w ich imieniu przemawiał człowiek stary, czcigodny pan, Opiekun zwierząt... Przyjdzie tu zaraz...

(*wchodzi Opiekun zwierząt, starzec z siwą brodą*).

### SCENA V.

OPIEKUN ZWIERZĄT. Zapewne ten młodzieniec opowiedział już panom, co postanowiły strejkujące zwierzęta. W nadziei, że ich prawa zostaną uznane przez ogół, za przykładem danym przez wasze Towarzystwo, i że ludzie będą lepiej niż dotąd obchodzili się z wiernymi swymi sługami i pomocnikami, zwierzęta postanowiły powrócić do pracy, aby nie narażać ludzi na straty, któreby wyrządziło dłuższe bezrobocie. Ale przed rozejściem się, poleciły mi wyrazić podziękowanie zgromadzonym tu rolnikom, za to, że pierwsi uznali *prawo zwierząt i przyrzekli stanąć w ich obronie*.

I na waszą cześć panowie wnoszę teraz okrzyk, który w ich języku ma znaczyć „*Niech żyją nasi obrońcy i przyjaciele!*”

(*Członkowie zebrani powstają wzruszeni. Na ulicy słychać wzmożone szczekanie, ryki, rzenie, kwik i beczenie. Po chwili głosy cichną i oddalają się. Chwila ciszy*).

(*Wchodzi woźny*).

### SCENA VI i ostatnia

WOŹNY. Proszę panów! Zwierzęta rozeszły się i w całym mieście powracają do koshar, do dorożek, do wozów i powozów, a reszta koni wraca na wieś, do siebie, razem z bydłem, owcami i świniami... Człowiek już nie wie, co o tem myśleć...

SEKRETARZ (*do pana Brzozy*). Panie prezesie! Był tu na ulicy i piesek pani prezesowej, i pies podwórzowy i owczarskie psy od państwa. Ale odeszły do domu razem z bydłem... Zdaje się, że bezrobocie skończone.

(*Członkowie zabierają się do wyjścia*).

PAN BRZOZA (*pociera sobie czoło*). Bezrobocie skończone, powiadasz pan... Więc trzeba śpieszyć na pociąg, zobaczyć co się w domu dzieje... Prawa zwierząt! niesłychane. Ale jeżeli się położyło podpis... trzeba dotrzymać zobowiązania...

WOŹNY. Może pan prezes poczeka trochę? Zaraz nadjadą dorożki, bo już zapręgają po wszystkich stajniach... Pójdę po dorożkę...

PAN BRZOZA. Wolę już piechotą... Jeździć końmi, które się upominają o swoje prawa?.. Nie! nie! wolę piechotą. Do widzenia panowie. (*Wychodzi — za nim członkowie Towarzystwa i Opiekun zwierząt*).

KONIEC.

## ZE ŚWIATA.

**Zawarcie pokoju.** Dnia 29 sierpnia r. b. otrzymała Europa radosną wieść, że po 17 miesięcznej krwawej wojnie między Rosją a Japonią, pełnomocnicy obu tych państw zebrani w Porstmouth na konferencyę pokojową doszli do zupełnego porozumienia, i postanowili rozpocząć spisywanie traktatu.

O wszczęciu rokowań wspominaliśmy pokrótce w zeszłym numerze, dzisiaj przytoczymy główne warunki pokoju:

Japończycy nie ograniczają liczby okrętów wojennej floty rosyjskiej, na morzach Dalekiego Wschodu, nie wymagają wydania krażowników i pancerników rosyjskich, które schroniły się do portów neutralnych Chin lub innych państw; rzekli się zwrotu kosztów wojennych, a Rosja zapłaci tylko koszta poniesione przez państwo



Japońskie na utrzymanie 100,000 jeńców rosyjskich wziętych do niewoli w ciągu całej wojny.

Obowiązują się nie fortyfikować zatoki La Perouse; zostawiają Rosyi północną część Sachalinu, południową zabierając sobie; przyczem oba państwa, zarówno Rosya jak Japonia, zgodziły się nie zużytkowywać tej wyspy dla celów strategicznych, i nie wznosić na niej fortów.

Początkowo chcieli Japończycy aby kolej Mandżurska, zaczynając od Charbinu przeszła pod ich władzę, lecz ostatecznie ograniczyli swe żądania, i zgodzili się na otrzymanie dystansu mniejszego, zaczynającego się od przełęczy Kwandon-zi, a ciągnącego się aż do Portu-Artura, który wraz z miastem Dalnym, oraz ca-

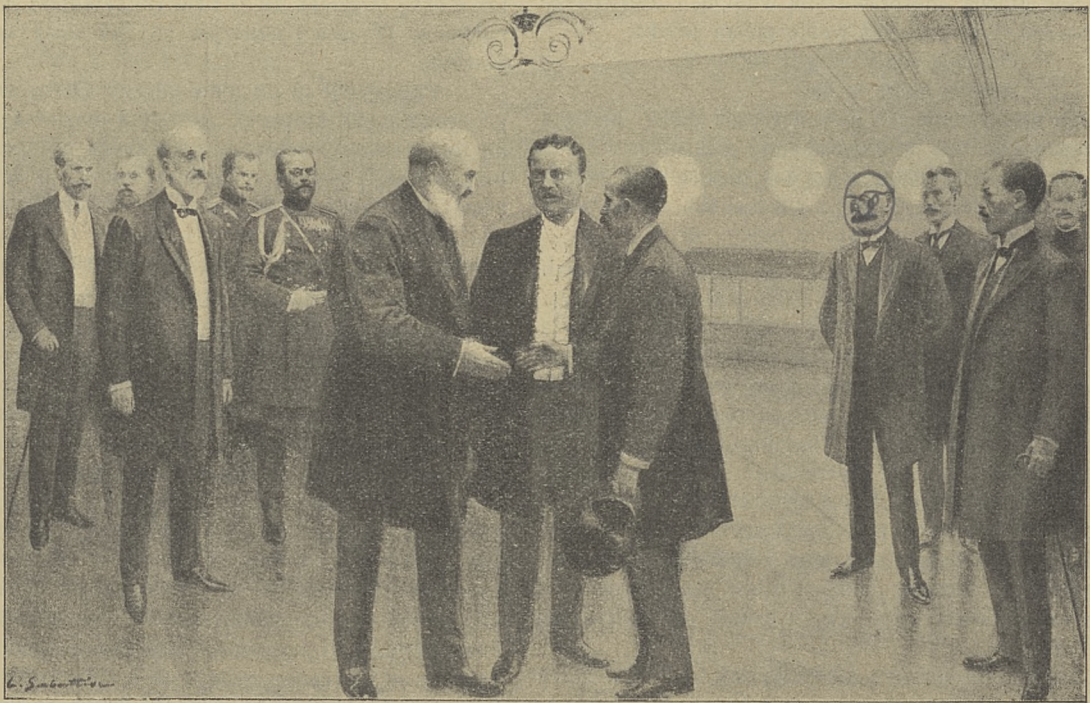
stwa, guberni południowo i północno zachodnich oraz obwodu wojska dońskiego.

Co do Królestwa, to wobec nieposiadania instytucji samorządu miejskiego i ziemskiego, wyznaczono umyślną komisję, która ma się zająć opracowaniem przepisów dokonywania wyborów w naszym kraju.

Wybory mają być przeprowadzone, aby najpóźniej w połowie stycznia 1906-go roku Rada Narodowa mogła rozpocząć swą działalność.

Rzeczona Rada stanowić będzie odrębną instytucję państwową, której powierzone zostanie przedwstępne opracowywanie i rozważanie wniosków prawodawczych, rozstrząsanie budżetu dochodów i wydatków państwowych.

### Spotkanie się pełnomocników Rosyi i Japonii.



Baron Rosen.

Prezydent Roosevelt.

Takahira.

Prez. kom. min. S. J. Witte. Baron Komura.

łym półwyspem Kwantuńskim zostaje w rękach japońskich. Korea zaś przechodzi pod ich protektorat.

Te są główne punkty ugody, przyjętej na posiedzeniu wtorkowym przez Wittego i Komurę, pełnomocników Rosyi i Japonii.

Do zawarcia upragnionego przez wszystkich pokoju wielce przyczynił się prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej Roosevelt, który potrafił skłonić Japonię do umiarkowania swych żądań, i poczynienia ustępstw.

**Rada państwowa.** Specyjalnym manifestem z dnia 19 sierpnia Najjaśniejszy Pan ogłosił ustanowienie w państwie rosyjskim Rady Narodowej.

Członkowie Rady Narodowej będą powoływani na swe stanowiska przez wybory ludności. Na razie wybrani będą delegaci z Cesar-

### Skrzynka do listów.

Bodaj to ptakiem być. Niedawno odpowiedzi na listy wasze, wysyłałam z Lubelskiego, a dziś z pod gór Świętokrzyskich, swiergotać będę, o modrzewiowych lasach, o legendach przywiązanych do starych murów klasztoru, o dawnych jeszcze pogańskich wierzeniach, kiedy to czarownice zbierały się na Łysicy, żeby psoć ludziom i warzyć w kotłach jadowite zioła razem z jadem żmii. Żmije spotkać łatwo między kamieniami, które pokrywają cały stok Łysicy, ale nie miałam jeszcze czasu wdrapać się na tę podania słynną górę, bo wyjazd z Lubelskiego nastąpił tak nagle, że zdążyłam zaledwie rozpakować moje przybory do pisania, nałożyć nową stalkę, a teraz niecierpliwie otwieram skrzynkę, żeby się przekonać, które z piskląt pamiętało o Jaskółce. Dzień przesłiczny, stare buki i stare modrzewie szumią do wtóru pieśniom żniwiarzy, którzy ostatnie snopki owsa zwożą do stodoły. Zdała na tle jasnych obłocz-



ków widnieje klasztor Świętokrzyski, strzelają ku niebu wysokie jego wieżycy, bieleją na zielonym tle puszczy ściany starych kapliczek i świeci też białością postać kamiennego pokutnika, który wedle podań ludu, co rok o ziarno maku posuwa się ku klasztorowi. Kto był grzesznik skazany na tak długą karę, o tem dowiedzieć się trudno, może pychą zawinił, a może brakiem wiary w lepszą przyszłość, bo grzech to wielki stracić nadzieję dla siebie i swoich.

Cudny ten świat, wierząc, Jaskółka chętnie zwołałaby dokoła siebie wszystkie pisklęta, żeby razem z niemi wdrapywać się na Łysicę, trącać nogą o te same głązy, które deptał może Bolesław Chrobry i siostrzeniec jego książę Emeryk Duński. Oni to przecież polując w tutejszych kniejach pierwszy wśród puszczy zbudowali przybytek Boży. Im kościół Świętokrzyski zawdzięcza drogocenną relikwię, drzewo Krzyża Ś-go, które ze czcią po dziś dzień przechowuje.

Byłoby o czem świergotać, cóż, kiedy radość Jaskółki psują smutne echa nowych nieszczęść, przedarły się tu one głuchą niesprawdzoną wieścią, i zatrwożyły mnie bardzo. Więc chociaż wedle pieśni Jontka,

«Szumią jodły na gór szczycie

Szumią sobie w dal».

— to nie cieszy mnie ich majestatyczna pieśń, płynąca po stokach gór, bo i ja, chociaż stary ptak, mam w sercu żal za to, że kiedy natura jest tak piękna i tak hojnie darzy chlebem, ludzie cierpią z własnej lub cudzej winy i tyle niepokoju dręczy znużone bólem serca.

Oddźwięk takiej samej skargi znajduję w słowach **Paskudnego dzieciaka**, który jest niepoprawnym dzieciakiem, bo znów zamiast porządnego listu przysyła trzy karty drobnutkiem, a tak nieczytelnem pismem skreślone i zawierające wiele poetycznych cytat, ale bardzo mało szczegółów o autorce tego ilustrowanego tercetu. Dzieciaku! innie nie o kolekcję kart tylko o twoją duszę chodzi, a ty się wymykasz pod różnemi pozorami. **Rak zatracony** przesyła ci pozdrowienia, ja zaś daję ostatnie ostrzeżenie, pisz szczerze jak do przyjaciółki, a może razem znajdziemy odpowiedź na dręczące cię pytania. Pragnę także bardzo wiedzieć jak się miewa twoja siostrzyczka, czy zdrowie jej teraz mniej daje ci niepokoju?

Stęskniłam się za tobą **Szarotko z Tatr** to też powitałam z radością kartę kochanej korespondentki sądząc, że przynosi mi ona wiele wiadomości o tobie samej, rodzicach i cici. Ale nic z tego wszystkiego, redakcja odpowiedziała kartą na twoje pytanie, a Jaskółka wyciąga łapkę do kwiatka drogiego wszystkim polskim sercom.

I twoja karta **Halko z nad Teterowa** ucieszyła mnie bardzo. Jesteś jedną z najstarszych i najmilszych korespondentek. Mam nadzieję, że zdasz dobrze egzamin i nie pożałujesz zmiany w kierunku nauki. **Łochożwianka** zdrowa, jest obecnie na Litwie, do-

noszę ci o tem bo wiem jak życzliwą zachowałeś jej pamięć i przypominam obietnicę napisania obszernego listu.

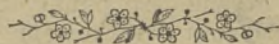
**Niewiadomce** donoszę, że marki w jakiegobądź ilości redakcja przyjmuje zawsze, co zaś do pisma to trzeba dać dokładny wypis brakujących ci numerów, a wtedy dopiero odpowiem ci czy takowe są jeszcze na składzie. Jesteś nowem pisklciem Jaskółki, pozwól jednak staremu ptakowi poprawić błędy ortograficzne. Otóż *wskazówki* pisze się przez *ó*, a numery przez *u*. Nie gniewasz się oto, prawda?

Szkoda **Głośna Falo**, że tak łatwo uwierzyłaś fałszywej wiadomości. Jaskółka nigdy nie była *panem* świergotałaś z nią przecież za dawnych czasów kiedy to kochana Jadwinia B. przyprowadzała cię do mnie. Czemu nie donosisz nic o niej, wiem, że odleciała aż nad Sekwanę, a ty czy ukończyłaś już swoją szkołę, czy jesteś teraz razem z siostrami i siostrzeńcami? Bardzo dawno nic o nich nie wiem, byłabym ci wdzięczna za wiadomość o Jani i Wańdzi, o tej ostatniej zwłaszcza czy już mirtowy wianek na czepek zamieniła? Ja się tak cieszę nadzieją, że ty Falo spożytkujesz wiadomości nabyte w Wansee i nauczysz nas jak się gospodarować powinno.

Przyłynął tu do mnie śliczny **Obłoczek** i mruga oczkami jak bławatki, Jaskółka nastroszyła piórka do lotu, radaby schwytać grzecznego chłopczyka, aby porozmawiać z nim o tatusiu, mamusi, o dobrej cici a także o pieskach czy duże są, czy łapią zajączki? Ale cóż, kiedy zerwał się wiatr i poniósł obłoczek daleko, daleko. Bądź zdrow obłoczku, napisz znów kiedy do mnie, a ja pazurkiem wydrapię odpowiedź na miły list.

Znam cię **Zatracony raku** chociaż zmieniłeś skórę, jak to raki robić zwykły. List twój zdradza rozwinięcie nad wiek, ale czemu, kiedy wszystko spostrzegasz, nie piszesz nic o *duszy* waszego miasta. Czy radzą tam nędzy, czy uczą ciemnych, czy pracują nad podniesieniem zdrowotności i czy ty dokładasz swoją cegiełkę do dobra ogółu? Wiem, że masz słuszość, krytykując powierzchowną pobożność, ale każde serce jest kościołem, w którym winniśmy wznosić ołtarze i strzedz ich czystości. Czy ośmieszając płytkość ludzkich pojęć umiesz sama wnieść duszę ponad kałuże i pospolitość życia, zacerpnąć siły w uwielbieniu dla Stwórcy, aby poczuwszy się w obec Niego prochem, przebaczać potem bliźniemu, a żądać wiele od siebie, skoro wiele ci było danem. Pamiętaj, nie to jest największą winą co popełniamy złego, tylko to, że zamało czynimy dobrego. Umieć krytykować znaczy umieć odróżniać cienie od światła, ale umieć przebaczać i kochać znaczy siać światło w ciemności. Błogostawieni, którzy tak czynią; tego błogostawieństwa życzy wszystkim swoim pisklętom, a tobie Raku wyłącznie

Jaskółka.



#### Prenumerata wynosi:

W WARSZAWIE: rocznie z odnośnieniem do domu rub. 4, kwart. rub. 1, pocztą rocznie rub. 5 — kwart. rub. 1 kop. 25. Zmiana adresu kop. 15. Numer pojedynczy kop. 10.

ADRES REDAKCYI, ULICA **Mazowiecka Nr. 10.**

**TREŚĆ:** Oddanie Zamku Krakowskiego (z 2 ryc.) — Z cyklu: «Drzewa» (Dąb) przez Leona Rygiera. — Gospodarstwo mrówek (z ryc.) — Przygody Imię Pana Mikołaja przez Z. Morawską. — Z wycieczek wakacyjnych (z ryc.) przez B. Dyakowskiego. — Król przestrzemi przez J. Verne'a. — Bezrobocie zwierząt (z ang.) przez B. Buyno. — Ze świata (z ryc.) — Skrzynka do listów. — **Dodatek:** Wesele u Chomika (wiersz z ryc.) — Skaleczoney paluszek przez Z. Bukowiecką. — Dzielną Jędrus przez J. Piasecką. — Zadania i łamigłówki.

Redaktorka **Ludwika Hauke**. Wydawczynie **Marya z Chomentowskich Balińska**.

Дозволено Цензурою. Варшава, 16 Августа 1905 г.

W drukarni **E. Szyllera**, Nowy-Swiat 26.